

Andrzej Sieroszewski

Wspomnienie wnuka: słowo o Wacławie Sieroszewskim

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 31, 165-172

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Z ŻYCIA TOWARZYSTWA

Andrzej Sieroszewski

WSPOMNIENIE WNUKA. SŁOWO O WAĆLAWIE SIEROSZEWSKIM*

Moje wystąpienie będzie miało charakter osobisty. W takim zresztą charakterze zostałem do udziału w dzisiejszym spotkaniu zaproszony i tak zostało to zapowiedziane w przewidzianym na dzisiaj programie. Nie będę więc mówił o Waćlawie Sieroszewskim jako o pisarzu, lecz najpierw podzielę się z państwem wspomnieniami wnuka o dziadku i domu, który razem z naszą babcią tworzyli, potem powiem, jak dzisiaj patrzę na postać mego dziadka i wreszcie spróbuję określić, co – moim oczywiście zdaniem – jego osobowość jako człowieka, a nie pisarza, czy nie tylko pisarza, ukształtowało.

Jestem jednym z pięciorga wnuków Waćława Sieroszewskiego – wszyscy jesteście tu obecni, bardzo wzruszeni, bo po raz pierwszy uczestniczymy w publicznej imprezie jemu poświęconej. Po raz pierwszy, w pięćdziesiąt lat po jego śmierci.

Spośród trzech synów Waćława Sieroszewskiego, jedyny żyjący, zresztą najstarszy, Władysław**, ma lat ponad 94 i ze względu na stan zdrowia musiał pozostać w domu. Ale oprócz nas, wnuków, jest tutaj z nami również cała trójka prawnuków. Z czworga praprawnuków najstarszy za kilka dni kończy dopiero 4 lata, najmłodszy jeszcze nie ma 9 miesięcy. Więc oni też zostali w domu.

Proszę się nie dziwić, że stawiliśmy się wszyscy, którzy mogliśmy, w komplecie, dzisiejsze spotkanie jest bowiem dla nas ważnym wydarzeniem rodzinnym. Za pomysł jego zorganizowania i za tego pomysłu urzeczywistnienie, w imieniu wszystkich Sieroszewskich z przyległościami, zstępnych Waćława po mieczu i po kądzieli, serdecznie dziękuję – na ręce panów profesorów Zdzisława Libery i Stanisława Makowskiego – Towarzystwu Literackiemu im. Adama Mickiewicza oraz dziekanowi Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, panu doktorowi Andrzejowi Guzkowi, w którego gościnnych progach mogliśmy się zebrać. A swoją drogą, gdy w 1951 roku po raz pierwszy nie zostałem

przyjęty na studia na Uniwersytecie Warszawskim, między innymi właśnie dlatego, że byłem wnukiem Wacława Sieroszewskiego, znanego piłsudczyka i senatora Drugiej Rzeczypospolitej, autora sztuki pt. *Bolszewicy*, nie przypuszczałem, że w tych murach będę miał kiedyś możliwość, tak jak dziś, publicznie o nim mówić. Tym większa moja osobista satysfakcja, tym wyższa temperatura przeżycia, którego doświadczam.

Zacznę – jak zapowiedziałem – od wspomnień o moim dziadku. Gdy wybuchła wojna, miałem 6 lat. Stąd, moje przedwojenne o nim wspomnienia składają się tylko z ułamek, pojedynczych utrwalonych w błysku pamięci scen. Najwyraźniejsze wiążą się z pobytami, a może z jakimś jednym konkretnym pobytem w ukochanej willi dziadka na Kamiennej Górze w Gdyni, którą na pamiątkę swoich legionowych bojów w 1914 i 1915 roku, w których uczestniczył jako żołnierz drugiej kompanii kadrowej, nazwał „Kadrówką”. Widzę dziadka, jak siedzi z gazetą w ręku, w wiklinowym fotelu, w jasny, słoneczny dzień, a my, wnuki, uganiamy się po ogrodzie, który oczywiście zapamiętałem jako dużo większy niż był w rzeczywistości. A potem już coraz intensywniej się układające wspomnienia z czasów wojny – począwszy od oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 roku aż po późną wiosnę 1944 roku, związane z mieszkaniem w stojącym do dziś domu przy ul. Górnośląskiej 16, tzw. domu przy schodkach. Mieszkali tam nasi dziadkowie od 1924 roku. I wreszcie ostatni rok, który dziadek przeżył najpierw w Chyliczkach, a potem w Zalesiu pod Warszawą. My też wtedy tam się znaleźliśmy.

W 1939 roku dziadek miał 81 lat. Był mężczyzną niewysokiego wzrostu, krępy, miał duże, siwe wąsy i niewielką bródkę, nosił okulary. Ale ruchy miał żywe, po dużym mieszkaniu na Górnośląskiej poruszał się żwawo. Dla nas, wnuków, był oczywiście bardzo starym człowiekiem. Gdy na kilka dni przed kapitulacją Warszawy w 1939 roku znaleźliśmy się – moja matka, siostra i ja – po opuszczeniu innego, trafionego bombą domu, u dziadków na Górnośląskiej, poczułem się jakoś bezpieczniej – w atmosferze domu, nawet w tamtych warunkach, musiał być jakiś spokój, babcia też była człowiekiem dzielnym, zawsze opanowanym. Tak to w każdym razie zapamiętałem.

I przyszły lata niemieckiej okupacji. Pierwszą, bardzo surową zimą przemieszkaliśmy we dwoje z siostrą u dziadków, bo nasze mieszkanie na Koszykowej było częściowo zrujnowane, pozbawione szyb. W całej rodzinie było biednie, zapamiętałem okropną zupę z brukwi, której pewno nikt nie lubił, ale my, dzieci, także demonstrowaliśmy nasz negatywny do niej stosunek. Mimo klęski wrześniowej nie było jednak w domu dziadków nastroju żałoby, dziś wiem, że ich synowie już nawiązywali pierwsze konspiracyjne kontakty.

Potem do śmierci babci w 1942 roku bywaliśmy z rodzicami na Górnośląskiej regularnie. Najlepiej zapamiętałem wspólne wigilie w święta Bożego Narodzenia. Stół okrągły w narożnym pokoju, wokoło dziadkowie, wszyscy trzej synowie

z żonami, pięcioro wnuków. Czasem ktoś jeszcze. I spośród wigilijnych potraw, do dzisiaj zapamiętany smak i barwa zupy grzybowej z łazankami. Sytuacja materialna z roku na rok się poprawiała, coraz lepiej działał słynny warszawski szmugiel. Ale prezenty były chyba skromne, mnie żaden nie zapadł w pamięci.

W dni powszednie dziadek na ogół coś pisał w pokoju sypialnym (dziś wiem, że spisywał wspomnienia i prowadził dziennik na bieżąco). Czasami siadał na bujanym fotelu w salonie, mieliśmy go wówczas dla siebie. Przy okazji imienin, raczej babci niż jego – mam go w oczach wśród gości gromadzących się w dwóch największych pokojach. Spośród nich szczególnie wyraziście zapamiętałem Juliusza Kadena-Bandrowskiego, o wiele młodszego, ale bliskiego, zawsze lojalnego przyjaciela dziadka, oraz Anielę Zagórską, krewną i tłumaczkę Conrada. My, wnuki, szczęśliwi nieświadomością dziecięcego wieku, szaleliśmy w pokoju dzieciennym, czasem przywoływani do porządku przez surowszą nieco babcię, chyba nigdy przez dziadka. Był dla nas niestychanie wyrozumiały, zawsze szalenie niepokoił się o nasze zdrowie, myślę, że po prostu bardzo swoje wnuki kochał.

Na tym tle szczególnie mocno utkwilo mi w pamięci wspomnienie smutnego Bożego Narodzenia 1941 roku. Babcia parę tygodni wcześniej, przechodząc przez jezdnię w alejach Ujazdowskich wpadła pod tramwaj i wypuszczona na święta ze szpitala, siedziała w fotelu nieruchomo, w gipsowym gorsecie. Gdy w trzy tygodnie później zmarła, dziadek w ciągu jednego dnia postarzał się o kilkanaście lat, stał się biednym, zrozpaczonym staruszkiem. Jeszcze niedawno był taki czynny, we wrześniu 1939 roku przemawiał przez radio do mieszkańców oblężonej Warszawy, by ich podtrzymać na duchu. Po kapitulacji razem z Kadendem, Goetlem, Michałem Rusinkiem i innymi uczestniczył w organizowaniu się samopomocy środowiska literackiego. W niecałe 3 lata później śmierć żony, która przez ponad 40 lat była mu najbliższym towarzyszem życia, na którym zawsze mógł polegać bez reszty, odebrała mu wszystkie siły, jakie jeszcze miał.

Na przełomie wiosny i lata 1944 roku dziadek, jak już wspomniałem, został przez rodzinę wywieziony z Warszawy najpierw do Chyliczek, a potem na drugą stronę Piaseczna, do Zalesia. Mieszkaliśmy tam, zostawszy na przedłużone powstaniem „wakacje” z matką i siostrą. Nasz ojciec najpierw walczył w powstaniu, potem w niedalekich lasach chojnowskich razem ze swoim oddziałem odbierał zrzuty lotnicze dla Warszawy. Po upadku powstania też zamieszkał z nami w Zalesiu. Zima z 1944 na 1945 rok była znowu ciężka i głodna, byliśmy bez środków do życia, Niemcy również w tamtych okolicach poszukiwali „bandytów” z Warszawy. Przeżyliśmy tę zimę dzięki pomocy dobrych ludzi i miejscowych placówek Armii Krajowej. W słabo opalanym domu w Zalesiu dziadek, który 60 lat wcześniej wytrzymywał kilkudziesięciostopniowe mrozy na biegunie zimna w Wierchojańsku, teraz marzył strasznie, przez więk-

szość dnia leżał w łóżku przykryty po szyję, wstawał właściwie tylko na posiłki, praktycznie nie brał udziału w życiu pełnego uchodźców z Warszawy domu.

Pod koniec zimy poślizgnął się nieszczęśliwie na schodkach, złamał obojczyk i łopatkę. Przez jakiś czas leżał w Miejskim Szpitalu w Piasecznie. Chodziliśmy do niego często: leżał w wielkiej sali, łóżka stały gęsto koło siebie, było ponuro, bardzo smutno. Warszawa nie istniała, Niemców już nie było, ale byli Rosjanie i jacyś nowi Polacy, żywiliśmy się cienkimi zupkami z RGO.

W osłabionym organizmie 87-letniego niemal człowieka wywiązało się opadowe zapalenie płuc, na które w tamtych okolicznościach nie było ratunku. Dziadek zmarł 20 kwietnia 1945 roku o godzinie 11 w południe.

W parę dni później chowaliśmy go na piaseczyńskim cmentarzu. Jednokonnym wozem wiozłem trumnę ze szpitala do kościoła i na cmentarz. Miałem 12 lat. Za trumną szła gromadka najbliższych, trochę znajomych z okolicy. To wspomnienie staje mi dziś, po 50 latach, bardzo żywo w oczach.

I dopiero potem zacząłem stopniowo dowiadywać się, kim mój dziadek był. Najwięcej i najwcześniej dowiedziałem się od ojca. Z jego opowiadań zapamiętałem, jak dziadek w trzecim gimnazjum, o parę kroków stąd, na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Traugutta (wówczas Berga), w proteście przeciwko karnej lekcji z rosyjskiego, wraz z kolegami ukrył pod ławką pozytywkę, która przywitała rosyjskiego inspektora Mazurkiem Dąbrowskiego, co po jakimś czasie skończyło się dla dziadka wilczym biletem. Jak w niewiele lat później, spotkawszy się z propozycją przystąpienia do antyrosyjskiej organizacji konspiracyjnej, postanowił zbadać swoją odporność na tortury, więc włożył rękę do wrzątku i doznał bardzo poważnego oparzenia. Jak na Syberii skonstruował pług, zrobił w jurcie okna z płyt lodowych, jak pierwsze opowiadania pisał na skrawkach gazet atramentem, który sporządził z wywaru z kory brzozej zmieszanej z opiłkami żelaza, jak uczył tańca w Irkucku. A później już, jak w wieku pięćdziesięciu kilku lat potrafił nauczyć się jeździć na rowerze po to tylko, by nie puszczać 8-12-letnich synów samych na wycieczki poza Paryż. I jak pomysłowi synkowie urządzili w trakcie jakiejś zabawy pożar w łazience, to ich z niej wyrzucił, pożar ugasił i nie powiedział im złego słowa.

I opowiadał mi ojciec, jak dziadek mając 56 lat jako prosty żołnierz poszedł w sierpniu 1914 roku do Legionów Piłsudskiego, w których służył najpierw w piechocie, a potem u Beliny i dosłużył się stopnia aż wachmistrza. I na którymś ze świąt pułkowych 1 pułku szwoleżerów meldował się w postawie na baczność swojemu synowi, memu ojcu, bo ten był już porucznikiem rezerwy. A z czynnej służby frontowej w Legionach wyszedł, wraz ze Strugiem, na wyraźne polecenie Komendanta – tak zawsze nazywał Józefa Piłsudskiego – który przestraszył się, że jak powiedział, „jeszcze proroków mi ustrzelą”. I jaki był dziadek w starszym wieku roztargniony – anegdota, prawdziwa zresztą,

pochodzi z okresu międzywojennego – nie poznał na ulicy własnego syna, który mu się uklonił z miłym uśmiechem.

Ale oprócz anegdot ojciec opowiadał nam także, jakim dziadek był dzielny i prawym człowiekiem, co przeżył, czego dokonał, co po sobie zostawił. W miarę jak dorastałem, dowiadywałem się coraz więcej, także z lektur i od ludzi, nie zawsze życzliwych. Już wiedziałem, że był kimś bardzo znanym, ten obraz mi się jednak jeszcze nie komponował w harmonijną całość. Ale gdy w 1950 roku na rozprawie sądowej mojego ojca, sązonego z przyczyn politycznych w trybie doraźnym, w jednym z procesów pracowników Państwowych Nieruchomości Ziemskich, pod zarzutem sabotażu gospodarczego na szkodę Polski Ludowej, usłyszałem z ust biegłego powołanego przez sąd na wniosek prokuratora, że oskarżony jest synem Wacława Sieroszewskiego, który zaczynał swoją działalność w socjalistycznych kółkach robotniczych zakładanych przez Ludwika Waryńskiego, ale po powrocie z syberyjskiego zesłania wsiadł do tego samego pociągu co Piłsudski i wysiadł na przystanku nazwanym przez nich niepodległość, więc syn takiego człowieka z natury rzeczy musi być sabotażystą, postać dziadka, tego z przystanku niepodległość, stała się dla mnie moim prywatnym symbolem sprzeciwu wobec tego, co się wówczas w Polsce działo. Tam, na sali sądowej, 17-letni wtedy chłopiec, poczułem się dumny, że noszę to nazwisko. Nota bene wiadomość o tym procesie z oburzeniem zanotowała w dzienniku Maria Dąbrowska, która w okresie międzywojennym nie szczędziła memu dziadkowi złośliwych, nie zawsze sprawiedliwych słów krytyki.

Kim Wacław Sieroszewski jest dla mnie dzisiaj? Oczywiście przede wszystkim dziadkiem, ale także:

– owianym legendą więźniem słynnego X Pawilonu warszawskiej Cytadeli i skazanym na wiecznie osiedlenie zesłańcem syberyjskim, który dwukrotnie próbował stamtąd uciekać i tylko dlatego uniknął śmierci od uderzeń knutem w wieku 24 lat, że w Wierchojańsku nie było kata,

– pisarzem, który narodził się na Syberii, bo nie wiedząc, czy kiedykolwiek z niej wróci, chciał światu ślad po sobie zostawić, a gdy jednak wrócił, to w 1898 roku Eliza Orzeszkowa powitała go artykułem w warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym” pt. *Gwiazda wschodzi*,

– zasłużonym badaczem Jakutów, przez niektórych nazywanym odkrywcą tego ludu, do dziś wśród nich czczonym; przed 2 lata dzięki mecenatowi współczesnego jakuckiego biznesmena wydano reprint pierwszej rosyjskiej edycji dzieła pt. *Jakuty* z 1896 roku, za które Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne odznaczyło wówczas autora złotym medalem, co po 16 latach zesłania otworzyło mu drogę powrotną do Polski; jeden ze znajomych opowiadał mi, że był w Jakucku akurat w dniach uroczystej promocji tej książki i nikt z miejscowych nie chciał wierzyć, że nie jest krewnym Sieroszewskiego, skoro jest Polakiem,

– jest dziadek też dla mnie człowiekiem czynu legionowego, wiernym żołnierzem i druhem serdecznym Józefa Piłsudskiego, ułanem Beliny, pokazywanym przez karykaturzystów w malowniczym czako, tak ogromnym na głowie niewysokiego wachmistrza,

– jest wreszcie, mimo zaawansowania w latach – u progu niepodległości miał już lat 60 – niestrudzonym uczestnikiem budowania własnego państwa, od kilkudniowego ministerium w pierwszym stworzonym samodzielnie przez Polaków rządzie Ignacego Daszyńskiego i prezesury w Stronnictwie Niezawisłości Narodowej, przez działanie w licznych organizacjach literackich i kulturalnych, aż po prezesurę w Polskiej Akademii Literatury i fotel senatora Rzeczypospolitej; pół, na których dziadek działał, było bardzo dużo: np. był prezesem Towarzystwa Polsko-Chińskiego, współpracował z Komisją Geograficzną Polskiej Akademii Umiejętności, był członkiem Straży Piśmiennictwa Polskiego, ale również np. na początku lat dwudziestych stanął na czele Spółki Budowy Własnych Mieszkań, jeździł nie tylko po świecie z prelekcjami o Polsce, ale przede wszystkim wędrował z odczytami po kraju; ktoś obliczył, że w ciągu kilku lat odbył około 500 spotkań z czytelnikami.

Jako człowiek tak aktywny, zawsze też emocjonalnie zaangażowany w to, co robił, naturalnie nie przez wszystkich był akceptowany. Obok sympatyków miał też zdecydowanych wrogów, zwłaszcza politycznych. W dwudziestoleciu międzywojennym był ostro atakowany przez narodową prawicę, oskarżony o plagiat, ścierał się mocno z hierarchią kościelną, krytycznie, często złośliwie, mówili o nim koledzy-pisarze, wystarczy zajrzeć do dzienników wspomnianej już Dąbrowskiej oraz Nałkowskiej albo przypomnieć sobie powojenne już słowa Iwazkiewicza. Wiem o tym doskonale i wiem też, że każda osoba działająca publicznie z natury rzeczy podlega ocenom. Nie zamierzam wyważać w tej sprawie racji, zresztą zapewne nie byłbym sędzią sprawiedliwym.

Niech mi wolno natomiast jako wnukowi powiedzieć, co – moim zdaniem – mego dziadka ukształtowało jako człowieka.

Więc przede wszystkim tradycja rodzinna. Był wnukiem Kajetana Sieroszewskiego, który także w stopniu wachmistrza stawał w szarży szwoleżerów pod Somosierrą, uczestniczył w rosyjskiej kampanii Napoleona i w walkach nad Berezyną w 1812 roku dostał się do niewoli. Potem jeszcze walczył w powstaniu listopadowym. Ojciec mego dziadka, Leopold, i stryjowie wojowali w powstaniu styczniowym, za co rodzinny majątek, spory zresztą, w Wólce Kozłowskiej koło Tuszczu (gdzie Waclaw się urodził), został obłożony kontrybucjami i podatkami i niebawem sprzedany na licytacji. Wychowany w takiej atmosferze chłopiec i pięć jego sióstr, karmieni przez matkę lekturą *Śpiewów historycznych*, we wczesnym dzieciństwie zetknęli się z Kozakami wpadającymi do dworu na częste rewizje. Po rychłej śmierci matki i przy niepewnej egzystencji ojca, ciągle zagrożonego aresztowaniem, dzieci zostały podzielone między członków

bliskiej i dalszej rodziny. Spośród sióstr dwie stały się potem na jakiś czas znane. Paulina we współpracy z Aleksandrem Świętochowskim współredagowała warszawską „Prawdę”, parała się piórem. Anna stała się współtowarzyszką życia Ludwika Waryńskiego, z którym miała syna Tadeusza, w okresie międzywojennym posła na Sejm.

Oprócz tradycji rodzinnej, podobnej do tradycji wielu takich rodzin na poły ziemiańskich, na poły inteligenckich, dalszą drogę młodego Wacława w poważnej mierze określiły okoliczności, w jakich się znalazł. Nie mogąc się kształcić ani w gimnazjum, ani w szkole realnej, trafił do szkoły technicznej i warsztatów ślusarskich przy Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, skąd na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zeszłego stulecia był już tylko krok – by użyć określenia Bohdana Cywińskiego z *Rodowodów niepokornych* – do świata ludzi podziemnych, w którym dziadek, wówczas terminator ślusarski, spotkał m.in. Tadeusza Struga-Gałeckiego, Feliksa Kona, Kazimierza Dłuskiego.

Za niepodległościową agitację wśród robotników i udział w buncie więźniów w X Pawilonie, w wieku 22 lat znalazł się na krańcach Syberii, sam jeden, w obcym, niezrozumiałym świecie, z którego – zdawało się – nigdy nie wróci. Wstrząsające jest świadectwo przeżyć tego młodego człowieka, zawarte w listach do Pauliny, które ogłosiła w „Archiwum Literackim” Barbara Kocówna, i zapisane później wspomnienia tamtych lat. Chęć do życia odnalazł ten młody człowiek w związku z Jakutką, Anną, z którego urodziła się im córka Maria (późniejsza nauczycielka mieszkająca do ostatniej wojny w Moskwie, w latach międzywojennych odwiedzająca w Polsce ojca i jego późniejszą, czyli naszą rodzinę); odnalazł tę chęć także w więzi duchowej z tubylcami, którzy – jak dziadek pisał – „byli dla mnie dobrzy”, w słowie polskim, jakie do niego dotarło na kresy syberyjskich lasów w *Szkicach węglem*, w poezjach Konopnickiej i nowelach Prusa przysyłanych przez siostrę z Warszawy, w postanowieniu zostania pisarzem. I poruszające jest wyznanie o zmaganiach z trudną materią daleko zostawionej polszczyzny, gdy wokół słychać było tylko mowę rosyjską i miejscowe języki.

Był nasz dziadek z pokolenia „urodzonych w niewoli, okutych w powiciu”, którzy udźwignęli ciężar czynu wyzwolenia i potem trudnego budowania. Osiągnął wszystko mocą woli. Wrócił do Polski, został pisarzem, doczekał, nie bezczynnie, świtu wolnego dnia, zbudował własny domek nad wolnym polskim morzem, o czym śnił w jurcie koło Wierchojańska. Czy nie miał prawa wierzyć i uczyć synów, a przez nich wnuki i prawnuki, że „chcieć to móc”?

Dobrze, że dożył chwili wypędzenia Niemców z Polski na początku 1945 roku, ale też dobrze, że już los mu oszczędził życia w następnych latach.

Jak każdy, nie był człowiekiem wolnym od wad i ułomności. Ale – jak sądzę – wiele miał zasług prawdziwych. Może w wolnej Polsce nadszedł wreszcie czas, by je sprawiedliwie osądzić?

Przypisy

* Wspomnienie wygłoszone na sympozjum poświęconym Wacławowi Sieroszewskiemu w Warszawskim Oddziale TLiAM 26 kwietnia 1995 r.

** Władysław Sieroszewski zmarł 6 sierpnia 1996 r.